



SALONOWE BURZE

BOHDANA
GADOWSKIEGO

Nie tylko śpiewa rozległym w skali głosem, ale z powodzeniem gra w serialach, filmach i teatrze. Teraz gra główną rolę Maxa w komedii „Dajcie mi tenora” w Teatrze Capitol w Warszawie i objazdowo w całej Polsce. Pamiętamy go z VII edycji „Tańca z gwiazdami” (szóste miejsce) i II edycji „Twoja twarz brzmi znajomo”, którą zwyciężył, umacniając swoją pozycję w show-biznesie. Jest także fotomodelem, brał udział w kilkunastu kampaniach reklamowych, również międzynarodowych. Singiel z piosenką „I won't stop” zapowiada jego pierwszą płytę.

– Śpiewa pan, tańczy, gra, ale ja postrzegam pana przede wszystkim jako piosenkarza. Tylko czy starczy panu czasu, by na poważnie zająć się muzyką przy takiej ilości zajęć?

– Cała ta aktywność, którą podejmuję w życiu, wpływa z mojej pasji i z tego, że kocham robić to wszystko, co robię. Muzyka nie wyklucza aktorstwa i odwrotnie. One się przenikają. Mam na tyle pojemne serce i wyobraźnię, że nie wyobrażam sobie rezygnacji z którejś z przestrzeni artystycznych, jakimi się zajmuję. Patrząc na artystów światowego formatu, widzę, że to wszystko można łączyć. Wiem, że wybrana droga w naszym kraju nie jest łatwa, ale postanowiłem, że konsekwentnie będę dążył do celu.

– Jednak zrezygnował pan z etatu w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Nie dał pan rady pogodzić tego wszystkiego?

– Zanim rozstałem się z wielką sceną, na której byłem „osłonięty” przez cały zespół aktorski (bywało, że na scenie znajdowało się nawet 50 osób) oraz orkiestrę, mogłem czuć się dość bezpiecznie. Nie byłem wystawiany na samotną, solową konfrontację z publicznością. Teraz, gdy zdecydowałem się na indywidualną artystyczną drogę, mam świadomość, że sam, bez niczyjej pomocy, muszę o tę publiczność zawalczyć i nie mogę się już za nikogo schować. Zrezygnowałem z etatu. Wydaje mi się, że w życiu każdego artysty przychodzi moment, gdy uświadamia sobie, że czas coś zmienić, że się dusimy, że brakuje nam przestrzeni, możliwości rozwoju. Przez wiele lat podejmowałem samodzielne kroki i dojeżdżałem z Gdyni do Warszawy, aby próbować czegoś nowego. W pewnym momencie postawiono mi ultimatum i musiałem wybrać. Wiedziałem, że jeśli nie teraz, to nigdy, bo będzie za późno. Pewne propozycje nie pojawiają się dwa razy. Tak więc była to kwestia świadomego wyboru.

– I w ten sposób odciął pan aktorską pępowinę. Był to dla pana trudny moment?

– Oczywiście. Długo się wahałem, ale postanowiłem przeprowadzić się z Gdyni do Warszawy. Tutaj dzieje się nieporównywalnie więcej, a perspektywy pracy są szersze. Warszawa dała mi szansę na ogromny rozwój wokalny, aktorski; przyniosła mi wspaniałe spotkania z niezwykle ludźmi.

– A gdyby został pan w gdyńskim teatrze, to w jakim miejscu byłby teraz?

– Pewnie w tym sprzede około dwóch lat. Etat, próby, spektakle, tęsknota za świeżą energią i żal za tym, co mnie omija. Takim już jestem trochę niespokojnym duchem.

Niespokojny duch

Rozmowa z MARKIEM KALISZUKIEM, wokalistą i aktorem



Fot. Krzysztof Kuczyk/Forum

– Nie tęskni pan za teatrem, za Gdynią?

– Jestem człowiekiem bardzo emocjonalnym i przywiązuję się do ludzi, do miejsc, do atmosfery. Tęsknię za znajomymi, przyjaciółmi. Tęsknię za sceną, za spektaklami i rolami, które grałem. Dawały mi mnóstwo satysfakcji i spełnienia. Tam nauczyłem się dyscypliny, samodzielności i tego, jak funkcjonować na wielkiej scenie. Tęsknię za Gdynią, która jest wspaniałym miejscem do spędzania wolnego czasu, ale absolutnie nie żałuję swojej decyzji.

– Pozostał sentyment do rodzinnego Olsztyna?

– Wpadam tam od czasu do czasu, żeby spotkać się z rodziną. Z radością i dumą patrzę, jak to miasto się pięknie rozwija.

– Jak czuje się pan w Warszawie?

– Bardzo dobrze. Zawsze lubiłem stolicę. Warszawa mnie intrygowała, odkąd byłem nastolatkiem. Kiedyś trochę się jej bałem, ale coś mnie w niej pociągało. Być może podświadomie chciałem się zmierzyć z siłą i energią wielkiej metropolii.

– Zawsze zabiegał pan o to, żeby mieć i umieć więcej?

– Chyba tak. Pamiętam to już od wczesnych lat szkolnych. Gdy dostawałem dwójkę, wracałem do domu z płaczem. Później, w dorosłym życiu, musiałem nauczyć się, że nie wszystko wychodzi nam idealnie i trzeba być z tym pogodnym.

– Jak przekładało się to na pracę artysty?

– Był taki okres, kiedy niepowodzenia mnie niszczyły. Nie potrafiłem wybaczyć sobie błędów, który zdarzył mi się na scenie. Miałem do siebie pretensje

i zarzucałem sobie, że może się nie nadaję, że może trzeba zmienić zawód. Wpadałem w błędne koło, które napędzało spiralę strachu i stresu przed wyjściem na scenę.

– ?

– Nie chciałem zawieść reżysera, choreografa, dyrygenta i publiczności. Z perspektywy czasu wiem, że było to błędne myślenie, ale zapewne musiałem przez to przejść i dzisiaj do życia i pracy podchodzę inaczej.

– **Wszystko, co pan robi, jest podporządkowane pracy zawodowej?**

– Nie. Zawsze zostawiam sobie mały margines swojego małego świata, w którym mogę się choć na chwilę zamknąć, odizolować.

– **Już pan jest cenionym i szanowanym artystą, czy dopiero o to zabiega?**

– W obecnych czasach każdy ma szansę zaistnieć w świadomości odbiorców poprzez telewizję i internet. W sieci możemy znaleźć tysiące ludzi, którzy śpiewają, grają, tańczą. Taka łatwość pokazania siebie i łatwość dostępu powodują, że wszyscy w tym tłumie ginie. Niezwykle trudno jest zaistnieć, zaimponować i zwrócić na siebie uwagę. Myślę, że czeka mnie jeszcze wiele lat pracy, żeby każdy wiedział, kim jest Marek Kaliszuk.

– **Nie boi się pan trudnych wyzwań?**

– Nie, bo one najwięcej uczą i stymulują do pracy.

– **Które były najtrudniejsze?**

– Na pewno te, które otrzymałem w programie „Twoja twarz brzmi znajomo”. Byłem ogromnie stresowany i pełen obaw, czy dam radę. W tym programie oprócz tego, że trzeba zaśpiewać głosem imitowanej gwiazdy, ruszać się i zachowywać jak ona, to jeszcze znaleźć nowe środki wyrazu. Do tego niezwykła charakterystyka i kostium, które utrudniały lub wręcz uniemożliwiały wykonanie zadania. Dodatkowo świadomość, że oglądają nas nie tylko ludzie w studiu, lecz miliony przed telewizorami.

– **Zapytany o największe wady, powiedział pan, że czasami brakuje mu wiary w siebie. Naprawdę tak bywa?**

– Tak było kiedyś. Teraz jestem bardziej pewny tego, co potrafię i wiem, czego mogę się nauczyć. Moją największą wadą jest problem z poczuciem czasu, którego nie mogę dogonić. Zdarza się, że się spóźniam i naprawdę wstydzę się tego, ale im bardziej z tym walczę, tym częściej przegrywam.

– **Nie wspominał pan, że ma przerost ambicji...**

– Mam. Po rodzicach, zwłaszcza po ojcu, który nie lubił porażek. Zresztą mama jest również ambitna.

– **Rodzice są artystami?**

– Tata pracował jako taksówkarz, a mama wciąż czynnie działa w służbie zdrowia, ale hobbystycznie związani byli z muzyką. Poznali się w zespole harcerskim, w którym mama śpiewała, a tata grał na gitarze. Moja starsza siostra śpiewa w zespole ludowym „Warmia”, ale na co dzień uczy języka niemieckiego i jest dyrektorem jednej z olsztyńskich szkół.

– **Grywa pan w przeciwnych serialach. Dla pieniędzy?**

– Pracując wyłącznie w teatrze, aktor nie jest w stanie się utrzymać. Pieniądze to jeden z powodów, dla których gra się w serialu. Nie zapominajmy jednak, że każde wejście przed kamerę to nowa lekcja i doświadczenie, bez których nie miałbym szans na udział w ambitniejszych produkcjach.

– **Już dawno nie widziałem pana w roli Bogusia w serialu „M jak miłość”?**

– Bogusia grałem prawie dziesięć lat temu. Ten wątek po prostu się zakończył i zniknął. Jednak siła seriali jest tak wielka, że widzowie do dziś pytają, kiedy wróci Boguś, ale i o serial „2XL” ze mną w roli Jur-

ka. Często też słyszę: Patrz, to Robert z „Pierwszej miłości”!

– **W jakim serialu gra pan teraz?**

– 6 marca w TVP1 pojawi się niezwykle serial „Bodo”, opowiadający o życiu i karierze Eugeniusza Bodo. Zagrałem tam fikcyjną rolę Szwarcza, przedwojennego aktora „Teatru Apollo”, w którym występował Bodo. W epokowych kostiumach gram, śpiewam i tańczę, a w jednej ze scen bez mojej obecności będzie można usłyszeć mój sopran i to w języku francuskim. Obecnie jestem na planie nowego projektu w reżyserii Tomka Koneckiego (reżyserował „Lejdis”, „Testosteron”, „Ciało”). Widzowie zobaczą mnie w głównej roli, a u mojego boku wspaniałą Marietę Żukowską. Już nie mogę się doczekać efektów, na które zapraszam od marca...

– **Jak wspomina pan udział w „Tańcu z gwiazdami” w TVN?**

– Z sentymentem. Jako bardzo ciężką pracę i wielką lekcję pokory, zawodu i tańca. Nabrałem innej świadomości swojego ciała i zrozumiałem, że można pokonywać własne granice. Po raz pierwszy zetknąłem się z wielką telewizyjną machiną produkcyjną i wielkim światem show-biznesu.

– **Był moment, gdy poczuł pan, że jest wykończony treningami?**

– Przy freestyle’u, gdy tańczyłem do muzyki z filmu „Chicago”. To był chyba piąty odcinek. Nastąpił kryzys. Ciało było na tyle zmęczone, że zaczęło odmawiać posłuszeństwa. Stawałem się nerwowy i niecierpliwy. Myślałem, że dalej już nie dam rady. Moją partnerką była Nina Tyrka. Trenowaliśmy po siedem, osiem godzin dziennie. Były łyzy, krew i ogromna presja, ale pokonaliśmy to.

– **Szóste miejsce satysfakcjonowało pana?**

– Bardzo, bo w tej edycji tańczyło aż czternaście par, w tym naprawdę wielkie nazwiska. Szóste miejsce w takim towarzystwie mogło dawać satysfakcję.

– **Za to wygrał pan program „Twoja twarz brzmi znajomo”. Jakie miał pan oczekiwania?**

– Obiecałem sobie, że nie przyniosę wstydu sobie i teatrowi, z którego wyszedłem, oraz ludziom, którzy na mnie postawili.

– **Czy po raz pierwszy imitował pan rodzime i światowe gwiazdy?**

– Nie licząc zwyczajnych wygłupów wśród przyjaciół, to tak. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę to robił na poważnie w tak świetnym programie rozrywkowym.

– **Która była najtrudniejszym materiałem wokalem?**

– Wszystkie były trudne. Każda ikona pochodziła trochę jakby z innego świata. Z jednej strony Hanka Ordonówna, z drugiej Michał Wiśniewski czy Robbie Williams, a w finale Maria Callas. Każda wymagała wyszukania zupełnie innych środków i nowej osobowości.

– **To wielka diwa operowa Maria Callas dała panu zwycięstwo.**

– Dość szybko zacząłem żałować, że dokonałem takiego wyboru i na trzy dni przed finałem stanąłem przed dylematem, co robić. Bałem się, że mi się nie uda, że zadanie jest zbyt trudne. Musiałem w tydzień przygotować arię sopranową. Ten finał był jak cud, jak bajka z dobrym zakończeniem.

– **Teraz nagrywa pan płytę...**

– Jestem w trakcie zbierania materiału i poszukiwania repertuaru oraz obszaru muzycznego, w którym zabrzmieć najlepiej. Poszukuję też ludzi, z którymi chciałbym współpracować, a nie jest to łatwe. To jeszcze chwilę potrwa, ale się nie poddaję.

– **Z jaką będzie muzyką?**

– To mieszanka moich inspiracji, doświadczeń i muzycznych pomysłów. Na pewno nie będzie to pły-

ta plastikowa i jednowymiarowa. Chciałbym, żeby było na niej kilka planów, dzięki czemu za każdym razem będzie można odkrywać ją na nowo. Płyta będzie zawierała szlachetny pop, elementy jazzu, może trochę muzyki elektronicznej i alternatywnej.

– **Co to za projekt „Kaliszuk&Mania in Songs”?**

– Początkowo była to alternatywa dla pracy w teatrze. Wymyśliłem projekt koncertowy, w którym mógłbym śpiewać to, na co mam ochotę, tak jak chcę i jak czuję. Kiedyś zapytałem moją koleżkę i znakomitego pianistę Piotra Manię, czy nie stworzylibyśmy duetu. Zgodził się. Wzięliśmy na tapetę kilka nacięć wielkich przebojów, bardziej i mniej ambitnych. Nadaliśmy im nowe formy, zupełnie odmienne aranżacje i elegancki anturaż. Z czasem skład powiększyliśmy o perkusję i gitarę basową oraz chórek. Dziś ten projekt to całkiem okazały koncert, podczas którego wykonuję m.in. hity Phila Collinsa, Rihanny, Presleya, Modern Talking, Grechuty. Po programie „Twoja twarz...” można też na żywo usłyszeć głosy Hanki Ordonówny, Arethy Franklin, a czasem nawet Marii Callas...

– **Czym jest dla pana moment wejścia na estradę, scenę, przed kamerę?**

– Jest dla mnie przekroczeniem niewidzialnej granicy, wejściem w zupełnie inny wymiar. To niewidzialny i nieprzewidywalny świat, który uzależnia i każe do siebie wracać.

– **Gdzie widzi pan siebie za pięć, dziesięć lat?**

– W Warszawie albo w Hollywood. George Clooney zrobił podobno karierę grubo po czterdziestce, więc może i dla mnie jest jeszcze szansa. Chciałbym znajdować się w miejscach i w sytuacjach, które będą dla mnie rozwijające, inspirujące i przyniosą mi spełnienie.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

GALERIA ANGORY



Leokadia Bartoszko. Absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Dyplom w pracowni malarstwa profesora Mariana Jeschke w 1967 r. „Niepokój”, olej na płótnie (65x92 cm). Cena 2700 zł.

leo_bart@toya.net.pl, www.bartoszko.pl